

Film, o którym mowa, przeleżał kilka lat na półce, ale w dziesiątkach, może nawet setkach kopii na kasetach wideo krążył od widza do widza. **BU-**
dział emo-
cje, opie-

TONIA

wał, wruszał i... obrastał w legendę. 13 grudnia (nieprzypadkowo wybrano tę datę) wejdzie na ekrany polskich kin. Główną rolę gra w nim **KRYSTYNA JANDA.**

(CIAĞ DALSZY NA STR. 6)

Rozmowa z KRYSTYNĄ JANDĄ

(DOKOŃCZENIE ZE STR. 1)

● Jak doszło do tego, że reżyser Ryszard Bugajski zaproponował Pani główną rolę w filmie „Prześluchanie”? I dlaczego zdecydowała się Pani ją przyjąć?

— To nie ja miałam być Tonia Dziwisz. Reżyser „upa-trzył” sobie kogoś innego, lecz ten ktoś... odmówił. I tak — za pośrednictwem Andrzeja Wajdy — scenariusz trafił do mnie. A ja po jego przeczytaniu zrozumiałam, że jest to rola, jakiej się nie odmawia...

● Akcja filmu rozgrywa się w latach 50. Nie może Pani dobrze pamiętać tamtych czasów. Zatem co musiała Pani przeżyć, żeby zagrać tak sugestywnie?

— Nie musiałam znać tych czasów, żeby wyobrazić sobie! Docierały do nas przecież jakieś opowieści, drobne znaki... Utrwały się w naszej świadomości, wbrew temu, czego usiłowano nas uczyć w szkołach i wbrew rodzicom, którzy często nie chcieli nas uczyć prawdziwej historii, aby nas... „nie krzywdzić”. Ta wiedza tkwi w każdym, kto żyje w tym kraju. We mnie także — i dlatego wiedziałam, jak to można zagrać, „na jak wysoką nutę”.

● Ale reżyser inaczej widział bohaterkę filmu. Podobno na planie toczyliście Państwo ze sobą zażarte boje?

— To nie dotyczyło tylko mnie i reżysera, ale także operatora, charakterystatorów... Wszyscy ludzie zaangażowani w ten film traktowali go bardzo emocjonalnie. Myślę, że te wszystkie awantury, histerie, płacze, nie przespane noce, wyszły nam na dobre. Filmy, które powstają w letniej atmosferze, najczęściej są bez znaczenia.

● Prześorsowała Pani swoją koncepcję...

— Mój warsztat zawodowy polega na tym, że do każdej postaci muszę dobrać pewne elementy, cechy, kolory, które pomogą w najbardziej doskonały sposób dotrzeć do widza. To, co wybrałam, było inne od wyobrażeń reżysera o postaci Toni. W rzeczywistości on znał tę kobietę, a ja nie, dlatego inaczej ją sobie wyobrażałam. Początkowo szokowało go moje zachowanie, moje reakcje. Nie był przygo-

towany na tego rodzaju osobowość, którą proponowałam.

● Sądził, że bohaterka filmu powinna być bardziej „wyciszona”?

— Wyciszona, mniej ekstrawagancka... To nie chodziło o meritum — ono było zapisane w scenariuszu, ja je zrealizowałam i on także. Myśmy się nie zgadzali co do typu kobiety, która miała być na ekranie!

● Bohaterka, którą Pani kreuje jest przesłuchiwana w bardzo brutalny sposób — bity, oblewana lodowatą wodą, straszona śmiercią. Nie daje się zastraszyć, ale po kilku latach z więzienia nie wychodzi już dawna, wesołutka dziewczyna, lecz ciężko doświadczony człowiek. Czy można zatem mówić tu o jakimś zwycięstwie?

— Ależ oczywiście! Jest to zwycięstwo dumy, odwagi, ho-

noru, prawdy! Tonia jest bohaterem pozytywnym tamtych czasów! Dlaczego ta postać się podoba? Nie dlatego, że ja się podobam, nie dlatego, że gram tak czy inaczej, ale dlatego, że została stworzona postać, która zwycięża. Widywaliśmy bohaterów, którzy byli pokonywani przez panujący system. A tu głupia, prosta dziewczyna, nie — nie głupia, po prostu... zwyczajna, nagle zwycięża! To chwytła za serce, pozwalała się ludziom z nią zidentyfikować. Jest prostsza niż widz, głupsza niż widz, a jednocześnie zwycięża i każdy z ludzi siedzących w kinie ma

uczucie, że jemu też by się to udało.

● Nie obawiała się Pani, że tworzy postać pomnikową?

— Nie wydaje mi się, że może być ona jedną z osób, które chodzą po ulicach. Wiemy z historii, że wielu ludzi zachowywało się w podobnej sytuacji jeszcze szlachetniej, jeszcze wspanialej i płacili za to życiem. Bohaterów takich mamy mnóstwo, tylko nie zrobiono o nich filmów...

● Jak układała się współpraca na planie... po zejściu z planu z Pani filmowymi opanawcami — Januszem Gajosem i Adamem Ferencym?

TONIA



— No nie, my jesteśmy zawodowcami. Jakikolwiek pozostałości z tego, co kręcimy, nie wchodzi w rachubę. Pracowałam nam się wspaniale. Takiej harmonii i jednorodności wśród aktorów nie spotkałam prawie w żadnym filmie. Wszyscy mieliśmy poczucie, że robimy coś naprawdę ważnego.

● Scena, która sprawiła Pani największą trudność...

— Hm... (po namyśle — dop. aut.) Ta, kiedy jestem pijana w knajpie i wnoszę toast za zdrowie mojego męża. Ta scena od strony zawodowej sprawiła mi największe kłopoty. Inne — zupełnie nie. To zdumiewające — jest to rola, którą zagrałam... bez namysłu! Od razu wiedziałam jak ją chce zagrać! Nie zajmowałam się siedzeniem i konstruowaniem, tylko przychodziłam na plan i to po prostu... szło!

● Czy to nie jest intuicja?

— Nie wiem...

● Scena, która wzbudziła w Pani największe wzruszenie...

— Ostatnia, kiedy po wyjściu z więzienia nie mogę poznać swojej córki. Patrząc na dzieci, odwracam się do dyrektorki Domu Dziecka i mówię: *Nie mogę jej poznać*. Uważałam, że tak powinien skończyć się film.

● Film przeleżał kilka lat na półce. Czy nie sądzi Pani, że teraz, w nowej sytuacji politycznej straci swoją dawną wymowę?

— Bałam się, że ludzie są zmęczeni oglądaniem filmów o latach 50., że już na „Prześluchanie” nie pójdą. Wiedza o tamtych czasach, przez te wszystkie lata, kiedy leżał na półce, ogromnie wzrosła. Ten film nie odkrywa nowych faktów, nie daje nowych wartości poznawczych. Jeśli ma szansę — to tylko dlatego, że może działać na emocje. Ale myślę, że się obroni, bo jest ponadczasowy — wszędzie może być zrozumiany.

● Czy można w ogóle powtórzyć taką rolę?

— Też na pewno nie. To był splot wielu, wielu przypadków, zdarzeń, miejsca i czasu. Być może zdarzy mi się w życiu inna, równie fascynująca rola, ale to już nie będzie ten czas, nie to miejsce, nie ci ludzie i nie ta sprawa...

Rozmawiała:
IZABELA WODZIŃSKA